

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 19.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 23 stycznia 1860.
4 lutego
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Kornel Ujejski (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Kronika sztuk pięknych.—Załucze i Borejkowszczyzna (z dwoma drzeworytami).—Hussarze polscy (z drzeworytem).—Circulus vitiosus, krakowiak na dwa głosy (z drzeworytem).—Spokój, poeta.—Korrespondencya od redakcyi.—Kwestya podrzędna, przy kominkowym ogniu rozbierna (dokonczenie).—Dzwon Zygmunta I w Krakowie (z drzeworytem).—Szachy i rebus.

Kornel Ujejski.

O! mam ja arę, od Boga kochany,
On ją w olbrzymiej zbudował strukturze,
Wielkich gór szczyty i dwa oceany
Służą jej wspólnie za poboczne ściany,
A jasne niebo wisi nad nią w górze,
A moje serce, o! to jej podnoże.

Tak śpiewa pełną piersią poeta natchniony, poeta, który nie umie na zachcenie własne, lub życzenie czyje olśniewać pieśnią gorejącą całym zapalem młodzieńczych uniesień, zdumiewającą wszystkimi bogactwy fantazyi nie spadającą nigdy ku ziemi. Kornel Ujejski nie umie podować poematów bez liczby i końca, nie umie fenomenalnych wygłaszać improwizacyi, ale umie pieśnią nierozległą wyśpiewać cały poemat, tak jak to umiał arcymistrz Adam. Pomiedzy młodszymi pieśniarzami, jest on niemal najmłodszy, bo dopiero w r. 1846 wystąpił z pieśniami Salomona, dobiegał jednak od razu do wysokości tej, do której wzniesli się przodownicy jego.

Znanem jest imię autora *Chorału*, ale utwory jego niedostatecznie są znane. Maurycy Wolf umieścił wprawdzie wyjątki z *pieśni Salomonowych*, z *kwiatów bez woni*, w wydanym przez siebie *skarbczyku poezyi* 1857, ale tam ledwie jest kilkanaście drobnych oryginalnych piosnek, nie rzucających światła na rodzaj poetycznego talentu Ujejskiego. W pismach warszawskich niemal nie widno jego poezyi. Czasem umieści cokolwiek Bernstein w zbiorze *klejnotów poezyi*, w których i kamienie czeskie, w oprawie rzeszowskiego złota, niekiedy zawieruszają się. Raz się zaplątał do „Kroniki“ wiersz, „do brata Adolfa,“ (rok 1857 Nr. 220); zresztą w pismach czasowych warszawskich głucha o poecie cisza. Ujejski wyłącznie bowiem udziela się pismom lwowskim, i to arcy-skąpo; niekiedy milczy przez dłuższy czas; potem, niesiony chwilowym natchnieniem, zabłyśnie, olśni, pokaże co i jak wyśpiewać zdoła, i znowu pozostawia osamotnionych słuchaczy.

Niejeden z czytelników, lubiących wiedzieć z kim mają do czynienia, zapyta kto on jest taki? Na to odpowiedź krótka. Tak jak znaczna część literatów polskich, szlachcic, literat nie z powołania, ale od zachcenia, zasiada od praojców na roli, a uprawiając ją kolejno w Kormanicach, Dawidowie, Podlipcach, Medy-

ce (gdzie u Mieczysława Pawlikowskiego zamieszkiwał w r. 1857), nakoniec w Zubrzy (którą wieś od r. 1858 trzyma w dzierżawie od magistratu lwowskiego), datuje z tych różnych miejsc od lat piętnastu swe poetyczne utwory. Do tej wzmianki, niech służy jeszcze wiadomość biograficzna, iż poeta urodził się około r. 1823, we wsi Beremniany, w obwodzie czortkowskim, ożenił się i jest ojcem dwojga dzieci. Bawiąc w r. 1847 w Paryżu, przypadł usposobieniem ducha do poetycznej, namiętnej duszy Juliusza Słowackiego, który uczcił go wierszem zaczynającym się:

twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach, pani słoneczna;



KORNEL UJEJSKI.

(Rysował Gerson, rytował H. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

Ty idziesz za nią, jak duch baranka,
I wołasz: Wieczna!

Dwa talenta, pokrewne sobie naturą pieśni, zrozumiały się co do celu i kierunku swego natchnienia; a chociaż jeden szyderyczy, niepochamowany, drugi

miękki i łagodny, jednakowoż głos obu zarówno rósł w siłę, i w jednej formie śpiewali swe pieśni.

Najdawniejsze prace dramatyczne Ujejskiego drukował lwowski „Dziennik mód paryzkich“ w latach 1844—1846. Są tam same drobniejsze poezyki. Między niemi mieści się serya *Melodyj hebrajskich*. Są tam prześliczne ustępy, tak co do formy, jako i treści. Obszerniejszą jest fantazyja o zabitej dziewczynie, napisana jako epilog do dramatu Karola Szajnochy „Paniec i dziewczyna.“ Jakże jest np. śpiewny a wytworny początek, gdy dziewczyna śpiewa nad zabita:

O senna siostrz! o czém ty marzysz
Z zwróconą ku gwiazdom twarzą?
W milczeniu nocy, czy tak się skarżysz,
Jak białe różę się skarżę?
Głosu twojego tłum nie posłyszysz,
Zrodzi się w ciszy i zginie w ciszy,
Jak Iza co serce wyplacze;
Ale był słowik co twoje spowiedź
Schwyił natchnieniem, więc ci odpowiedź
Śle przez me usta prostacze.
O senna siostrz! nie skarż się więcej,
Choć cię na ziemię zepchnięto,
Aby cię szorstke porwały ręce,
A potem rzuciły — zmięta.
Nie skarż się, nie skarż! kwiat co swą wonią
Wiał nad niewdzięczną, weselną skronią,
I uwiął śród pjanych śmiechu,
Lepszą miał dołę, niż ten co głazy
Obwijał kwieciami, aż mu się plązy
Wyległy w brudnym kielichu.
Lepszą miał dołę, kto przypadł kwiatem
Na serce bliźnie, z wróżbą szczęśliwą,
Niż ten, co wzgardził Bogiem i światem,
I wyrósł chwastem, pokrzywą,
Niż ten, co bratni odstąpił wieniec
I ściera z czoła wstydu rumieniec,
Choć słońce patrzy nań ostro,
Niż ten, co tarnią stanie wśród drogi,
By ranić świętych pielgrzymów nogi,
O senna siostrz!

Wydał on następujące prace: *Pieśni Salomona* (pieśń z pieśni) Poznań r. 1846 w 8ce str. 123; *Kwiaty bez woni*, Lwów r. 1848 w 8ce str. 143; *Zwiędłe liście*, Lwów r. 1849 w 8ce str. 116; *Melodye biblijne*, Lwów r. 1852 w 8ce str. 143; *Rozbitki*, prolog napisany dla sceny polskiej we Lwowie, Lwów r. 1857 w 8ce str. 38. *Poezycy*: Petersburg r. 1857 w 16ce str. 126, tudzież różne wiersze: *Ojciec nasz*, *Modlitwa ojca przy chrzcie syna*, każde z osobna wyszłe; nadto prozą: *Artykuły dziennikarskie* o scenie polskiej we Lwowie, Lwów r. 1858 w 8ce str. 34; nakoniec wydrukował obszerniejszy wiersz na zgon Mickiewicza.

W *Kwiatach bez woni* mieszczą się najdawniejsze

jego poezje; jest tam sześć sonetów z r. 1839 i 1840. Treść ich miłosna, myśl przytęm zwykle towarzysząca młodym marzycielom, myśl zwątpienia w latach szesnastu życia, która go skłania do wykrzyku:

Lat szesnaście, mój Boże! i już tracę wiarę!

Kierunek jeszcze niepewny, talent niewybitny, zresztą widne przejęcie się na wskrós obrazowością sonetów Adama. Rok 1844 wyjaśnia zwolna barwę poetyczną piewcy; pieśń miłosna cichnie obok rozleglejszego tonu. *Stance do mojej matki*, giną obok *Gęśli Jeremiasza*.

W r. 1845 napisał pierwszy w rozleglejszej formie poemat *Maraton*, umieszczony w r. 1847 i 1848 w czasopiśmie *Bibliot. im. Ossoliń.* Od r. 1845 — 1850 pisał *Melodye biblijne*, które częściowo umieszczał w *czasop. bibl. Ossoliń.* 1847 i w *Tygodn. lwowskim* polskim 1849 r. *Melodye* te są najpiękniejszym zbiorem, nad który przedtęm i potęm nie utworzył poeta nic lepszego. Są tam pojedyncze pieśni, do których przyznałby się najznakomitszy mistrz; nie wiedzieć co wybierać za najlepsze, czy pieśń *Balaam*, czy *Agar na puszcy* (umieszczony w „*Bibliotece warszawskiej*“ r. 1853, lipiec) czy *Izrael w Egipcie*, *Rebeka*, *Ostatnie głosy Sodomy*, wszystko jest śliczne, opromienione natchnieniem prawdziwego wieszca.

Ostatniemi laty napisał Ujejski poemacik *Podróż przerwana*, z którego wyjątki zamieścił w *Dzienniku literackim* r. 1854 i w *Nowinach* r. 1855. W poemacie tym, o ile z wyjątków wnioskować można, poeta zarzucił liryzm, który dotychczas był wybitnym znamięm jego natchnionego słowa, a zastosował się do wymagań przedmiotu, i stał się opowiadaczem. Tutaj napotykamy, obok iskier podniosłej myśli, ustępy humorystyki.

Przed laty trzema napisał poemacik *Po latach osmnastu*. Jestto gotowy dramat, w formie opowiadania, nie dostaje tylko podziału na sceny i dialogi. Ten poemat teraz dopiero umieszczać zaczęło jedno z pism lwowskich, dlatego nie może on jeszcze podpaść pod ocenienie.

Ostatniemi laty popróbował poemata Szopena ująć w pieśń odpowiednią. Napisał poezje: *Zakochana*, *Panna młoda*, *Noc straszna*, *Kto lepiej*, *Marsz pogrzebnny*, *Wniebowzięcie*, które zamieścił *Dziennik literacki* r. 1858. Dla przekonania się ile umiał odgadnąć ducha szopenowskiego, dość jest podłożyć słowa pod muzykę, tam gdzie się podłożyć dadzą, lub wsłuchać się w melodię, a trafność tekstu przemówi do serca słuchacza.

Bawiąc w r. 1857 w Medyce u Pawlikowskiego, zamierzał utworzyć ciąg legend historycznych. Był to pomysł wielce szczęśliwy, bo najodpowiedniejszy naturze talentu jego. Humorystyczne szkice, jak np. *Rozmowa z dorobkiewiczem* (w *Dzien. liter.* 1856 Nr. 1), ku którym przez czas pewien skłaniał się, nie są godnymi talentu autora *Melodyj biblijnych* i nie przydają mu blasku. Jeszcze naiwne, sielskie obrazki, jakoś wydają się wdzięcznie (na przykład: *Za służbą*, w „*Klejnotach poezji*“), bo je otacza miłością i prostotą; natchnienie jednak i ogień liryzmu, jeżeli mają być w ściślejsze określone formy, nie w takim źródle zaczerpują siły. Dlatego skreślanie legend dziejowych, w którychby zachwyt poetycki nie miał zapory i granic, mogłoby wydobyć nowe bogactwa myśli i fantazyi poety. Napisał on legendę *Plug i szabla*. Początek pieśni drugiej wskazuje jaka jest całość.

Był naród mieszkający na wielkiej płaszczynie,
Co bujała to trawą, to lasami żyznie,
A niedalekie morze dla tej ziemi synów,
Wyrzucało na brzegi kawały bursztynów;
Te przekłuwane zrzęcznie, zniżane na sznurek,
Zdobiły białe szyki ich niewiast i córek,
A bardzo tęp cieszyła się każda niewiasta.
Lud ten żył po Bożemu, nie wiedział co miasta,
A dzielił się na gminy, rządził się ojcami,
Od pól, na których mieszkał zwał się Polanami,
I żył sobie swobodnie, jako pszczoły w ulach,
A już całym narodem, co miał kształt pasieki,
Rządził Bóg, uśmiechnięty okiem swęj opieki.

Więc prowadził ten naród żywot cichy, sielski,
I pobożny był wielec, i prawie anielski.

A dalej:

Więc szczęśliwym był lud ten, uprawiając rolę
I chodząc z troskliwością około swych barci.
Lubił pieśni, co słodzą rolnictwa mokoły:
Więc pracował i brzęczał, tak jak czynią pszczoły.
Jaki zachód, chleb taki, skutek rodzą środki:
Toż świętym był jak ziemia i jako miód słodki.

I chodził w białym płótnie własnego wyrobu,
I w takim białym płótnie chował się do grobu,
Nie wiedząc co to plama krwi na swęj odzieży,
Bez pochuci do klóteń, nie znający wojny,
Nie szukał za żelazem, co gdzieś w ziemi leży;
Więc rozrastał się mnogo, rojny, bo spokojny.

Był to widok ucieszny nieraz dla aniołów,
Gdy lud ten pod lipami usiadłszy u stołów,
Przysłuchiwał się chętnie radom braci starszej,
Co siedziała na wyższej kłodzie patryarszej;
A opodal niewiasty, piękne jak królowe,
Rańtuchami nakrywszy ścięte włosy płowe,
Niby berła pokoju, trzymają kądziele,
I wesoło szczebiocą, a wiele, a wiele.
Nad niemi, na rumianęj owocem jabłoni,
Kilka głosów dziecięcych wśród gałęzi dzwoni,
A pod drzewem siostryczki, oczka i fartuszek
Podniosłszy, do czerwieńszych miłą się jabłuszek,
I do sprytnych braciszków, coby je natrzęśli,
A tu słyhać gęślarzy strojących swe gęśli . . .
W długich szatach, a z liściem zielonym na głowie,
Wyszli cicho z zieleni, jak dobrzy bogowie.
Ich przyjsciu dziwny jakiś powiew towarzyszy:
Starce, dzieci, niewiasty, wszystko tonie w ciszy.
O czarodziejska władzo słowiańskich śpiewaków!
Ty nawet do posłuchu zniewalałaś ptaków.
Oto lecą z pod strzechy już ku nim gołębie,
I u stóp czarodziejów siadły niestrwożone;
Tam bocian ruszył z gniazda na zeschniętym dębie
I rozkraczył przed niemi swe nogi czerwone,
I już od tych śpiewaków zdobyły na wieczność
Bocian jasną powagę, gołębie serdeczność.

Najpóźniej osobno wydanym utworem jego jest prolog *Rozbitki*. Rozbierano go w „*Bibliotece warszawskiej*“ wrzesień r. 1858, przyganił Wł. Zaw. w „*Czasie*“ Nr. 229 z r. 1857, na co odpowiedział mu Józef Dzierzkowski w „*Dzien. liter.*“ Nr. 120 z r. 1857. Prolog wywołał zdania za i przeciw. Pierwszy ten obszerniejszy, napisany w Medyce utwór, poświęcił autor Mieczysławowi Pawlikowskiemu, *bratu od serca*; snać przywiązywał do niego wartość dość znaczną. Oceniając tę pracę jako utwór sceniczny, nie ma ona wielkiej wartości; lecz poeta nie mógł mieć pretensyi, aby drobnuchny prolog uważano za coś więcej jak za prolog. Jako scena improwizowana jednym rzutem natchnienia, ma ona wartość już chociażby dlatego, że poeta przedstawia kapłankę, która tyle przesłicznych myśli wypowiada. Była też to niezwykła odwaga, że wyprowadził na scenę artystów we własnej osobie, we własnym charakterze występujących. *Nowakowski*, *Smochowski*, *Reimers*, *Starzewski*, zjawiają się jako wkradający się na scenę, na której panowali niedawnymi czasy. Mówią o sobie, o swoich i o niedoli własnej. Niełatwa to rzecz wyprowadzić coś podobnego przed oblicza widzów, bez popadnięcia w śmieszność, żebractwo względów, lub jednem słowem w płaskość. Poeta uniknął tego; figury jego przedstawiają się godnie, szlachetnie, sympatycznie. Dialog, niby beztreściowy, przynajmniej bez akcji wyszukanęj, rozwija się swobodnie, żywo, naturalnie. Ironia zawsze dowcipna, dojmująca, zapala zawsze naturalny i poetyczny. To wszystko ratuje słabą tkaninę prologu.

Prolog ten nasuwa wskazówkę, na czém winienby oprzeć się poeta uzdolniony. Natchnienie liryczne jest krótkie i wywołuje krótkie pieśni i fragmenta. Ujejski jest dotychczas wyłącznie lirykiem. Próby pojedyncze atoli wróżą, iż mógłby jeszcze trwalszym pomnikiem upamiętnić swe imię.

Łatwość w scenizowaniu i skłonność do dialogu, odzywają się u niego od czasu do czasu. Brał się nawet do tłumaczeń. W r. 1847 przełożył scenę z *Antygony* Sofoklesa, lecz był to więcej obrazek liryczny, tak jak nim jest epilog do dramatu Karola Szajnochy. Próbował pisać dramat *Samson*, ale go nie dokończył; a szkoda wielka dramatu, bo nieprędko mielibyśmy coś podobnego w literaturze naszej, jeżeliby udało się poecie wykończyć całość tak artystycznie, jak nakreślił sceny początkowe, w których, lubo jeszcze Samsona nie wywiódł na widownię, już umiał obudzić zajęcie potęgą swojego słowa, przeciwstawieniem charakterów i dziwnie rozwiniętą siłą uczucia.

Żałować wypada, że poeta nic rozleglejszego dotychczas nie wypracował. Lat dwadzieścia już upływa od pierwszego wystąpienia jego; po latach dwudziestu wymagaćby można od poety czegoś większego, zwłaszcza gdy nie ulega powątpiewaniu, że zdolen jest bądź dramatem, bądź poematem wyższym przysłużyć się piśmiennictwu. Prawda, że geniusz poety-

cki nie ma przepisanych reguł, nie da się wywodzić podług życzeń cudzych, ale i to prawda, że wola niezłomna silnym jest bodźcem do pracy.

Co do pisemka prozą: *O scenie polskiej*, napisał je zdaje się naprędcę; jest to improwizacja raczej, a nie artykuł krytyczny dziennikarski. Dużo tam fantazyi, dobrej w poezji, ale nienaturalnej w prozie; dobrze więc uczynił iż zarzucił pisanie dalszych seryj.

Nie wdawaliśmy się w szczegółowy rozbiór poezyj jego, mianowicie w wytknięcie drobnych, tu i owdzie rozrzuconych, ujemną stronę formujących szczegółków, bo zadaniem naszym było tylko wykazanie charakteru utworów poety, w ich rozmaitem rozwinięciu, nie zaś ich roztrząsanie, które wymagałoby przydłuższego opowiadania, nie przypadającego do ram pisma tygodniowego.

Kronika tygodniowa.

Karnawał, większą już połowę swojej kariery przeszedłszy, zaczyna się trochę ożywiać. Kilka prywatnych wieczorów miało miejsce w tym tygodniu w resursach; jak zwykle w nowęj tańczono z ogromnym życiem i prawie do dnia białego, w wielkiej zaś zaledwie dwanaście par stanęło do mazura. Mało to wprawdzie, ale interesu za to dodawał hymen, który pochodnią swoją przyświecał w kilku figurach. Opiekuńcze to bóstwo tak jakoś niełaskawe w tych czasach jest na nasze miasto, że każde, chociażby dalekie pojawienie się jego, z radością witamy.

Za to prorokują nam, że dzisiejszy bal w resursie kupieckiej będzie liczny i okazały. I niema czemu się dziwić, przy tak mnogiej a dorodnej załodze, jaką Warszawa otrzymała w tych dniach, każda zabawa udać się musi, każda rozweselić.

Towarzystwo rolnicze rozpoczęło już swoje posiedzenia, członkowie przybyli do Warszawy, szczerze krzątają się około dobra krajowego, pracują i radzą; ale po pracy i naradach nie zawadzi odetchnąć trochę swobodniej i przypatrzyć się, chociażby z daleka, temu przepychowi niewieścięj urody, z którego oddawna słynie Warszawa. A i damy tutejsze rade zapewnić spotkać się z ludźmi ochotniejszymi do zabawy w ich towarzystwie, aniżeli tutejsze miejskie preferansowe i zacygarzone pokolenie.

Wiedzą one dobrze, w jakich to sercach pozostało jeszcze żywsze uwielbienie dla ich wdzięków, gorętsza cześć dla ich cnót i przymiotów.

Więc nietylko o dzisiejszym balu w resursie dobrze można wróżyć, ale i bal składkowy na dochód zakładającego się instytutu muzycznego w pałacu Rządu Gubernialnego (dawniejszym Paca), uda się z pewnością. Większa część biletów rozkupiona, mówiono nam nawet o wielu naddatkach, i słuszna rzecz, bo kiedy w każdym prawie większym prowincjonalnym mieście urządzają się skwapliwie na tenże sam cel zabawy i koncerta, toć Warszawa powinna przodkować innym, tak w dobrych chęciach, jak i w przyprowadzeniu ich do skutku; jęj bowiem w każdym razie największa, najbliższa ztąd dogodność. Ofiary instrumentów muzycznych sypią się jedne za drugimi; w zeszłym tygodniu p. Herman, właściciel składu fortepianów zagranicznych w Warszawie, ofiarował kilka darów, których wartość wynosi razem kwotę rsr. 600. Zebrano już większą połowę oznaczonej przez rząd summy, reszta niewątpliwie dopełni się wkrótce.

Z góry już zamówione bilety na pierwsze przedstawienie *Hrabiny*, dowodzą zajęcia, jakie wzbudziła w publiczności wiadomość o blizkiem przedstawieniu tej opery. Nie chcemy przedwczesnymi pochwałami zdradzać zakulisowych tajemnic, powiemy tylko, że połączenie talentów i pracy kompozytora i librecisty (Moniuszki i Wolskiego), pod szczęśliwą w „*Halce*“ narodzone wróżbą, a jak niepłonną mamy nadzieję, niemniejszym powodzeniem utwierdzone w „*Hrabinie*“, powinny ich zachęcić do dalszej na tém polu współpracy.

Bo też nietylko wytworny i harmonijny wiersz p. Wolskiego wybornie nadaje się pod muzykę, ale autor ten posiada jeszcze przytęm dziwny jakiś instykt muzyczny, jakieś przeczucie, wpływające może z doskonałego obznajmienia się z pracami Moniuszki i rodzajem jego kompozycji, które im obu dopomagają uharmonizowaniu najdrobniejszych części przed-

siębranego przez nich dzieła. Wolski, jak słyszeliśmy, nigdy prawie nie potrzebuje przerabiać ani poprawiać swoich śpiewów, chórów osobnych, aryj; od razu one nadają się pod muzykę, owszem wierszowanie ich, jak sam Moniuszko przyznał, nieraz mu dopomaga do pomysłu i ułatwia go. Trzeba zrozumieć dobrze trudność połączenia tych wszystkich zalet w libreciście, żeby umieć je ocenić. Taki librecista jest prawdziwym skarbem dla kompozytora. Częstość bowiem zdolnemu nawet poecie i wytrawnemu autorowi trudno jest bardzo ułożyć libretto do opery, nie tylko pod względem dramatycznym, ale pod względem tych wewnętrznych szczegółowych zalet, tém cenniejszych, że uchodzą one przed wzrokiem ogółu, zakryte blaskiem kompozytora, który tu zawsze główną gra rolę. A poety jednak, na drugi plan odsuniętego, niemniejsza jest zasługa, którą zdwaja poświęcenie się jego dla współtowarzysza pracy. Dawniej, przed dwoma, trzema albo czterema wiekami, inaczej jeszcze te rzeczy ceniono. Kiedy we Francji, przed pojawieniem się Lullego, owego kucharczyka, co dowcipną piosnką przy rondlu, przeciwko pannie Montpensier wymierzona, rozpoczął świetną swoją karierę muzyczną i stał się można powiedzieć twórcą nowoczesnej opery, otóż kiedy we Francji przedstawiano utwory dramatyczne z muzyką, dawane podczas uroczystości publicznych, afisz opiewał zawsze:

„Dzisiaj, na cześć takiego a takiego obchodu, daną będzie wielka scena i parada, z świetnymi ubiorami i innym gustownym przyborem. Autorami tego nowego dzieła są: Pan V. cieśla, który sporządzał rusztowanie i przeróżne piękne bardzo machinerie dramatyczne, p. X. tapicer, który rozwieszał makaty, ozdabiał deski i dostarczał ubiorów, oraz pp. Y i Z którzy dorobili wiersze i muzykę do tego dzieła.“

Publiczność więc z góry była obznajmiona, jakiej zasłudze winna oddać cześć za swoją zabawę, i nie omieszkała oklaskami, a często darami pieniężnymi wynagrodzić cieślę i tapicera. O tamtych zaś dwóch innych nie było mowy, bo cóżby oni mogli zrobić bez głównych działaczy?

Koncerta nie ustają. Słychać że w znanym tu muzycznym salonie przygotowuje się wieczór muzyczny, w którym mają przyjąć udział panie: M. K. E. R. oraz pp. J. D. i T. Z. Wymieniamy tylko początkowe litery, chociaż talenta tych artystów i amatorów, dobrze znane publiczności, łatwo dozwolą domyśleć się nazwisk. Jako nowość także możemy zalecić ładny bardzo romans do śpiewu na tenor, kompozytorki autora niewydanego mazurka „Czarne oczy“ (słowa W. Wolskiego). Romans ten wkrótce zapewne wyjdzie z druku.

Dziwny wypadek miał miejsce w tych dniach. Pewien młody człowiek, zatrzymawszy się przed sklepem Loursa pod filarami teatru dla wydobycia cygarówki i zapalenia cygara, upuścił z tej cygarówki kilka rubli. Przechodzący tamtędy jakiś amator pieniędzy, podobno dawny garson z doliny szwajcarskiej, schylił się po podniesienie biletów, ale młody człowiek, jak łatwo domyśleć się można, odtrącił go i odebrał swoją własność. Nazajutrz ukazuje się w jego mieszkaniu tenże sam garson, w towarzystwie jakiegoś obywatela z prowincji, który utrzymuje, że dnia wczorajszego zgubił pod filarami paczkę zawierającą kilkanaście tysięcy złotych polskich w asygnatach bankowych, i że garson widział młodego człowieka podnoszącego tę paczkę. Obywatel więc, opierając się na świadectwie garsona, który zeznanie swoje deklaruje się zaprzysiądz, sądownie upomina się o swoją własność. Wystawcie sobie przykre położenie młodego człowieka, nie wiedzącego czy jest ofiarą jakiegoś szalbierstwa, czy też fatalizmu, a zagrożonego procesem, tém przykrzejszym, że jak powiada Bazyli w Cyruliku, z najniepodobniejszej do prawdy potwarzy coś się zawsze zostanie. Na szczęście tegoż samego dnia wyjaśniły się rzeczy. Jakaś pani przybyła do Kuryera z doniesieniem, że znalazła pod filarami trzynaście tysięcy złotych; była to właśnie strata owego obywatela, który pieniądze swoje odebrał w redakcji Kuryera, o czém w swoim czasie pismo to donosiło. Garson, jako przyczyna całego złego, zapewne ukarany zostanie, bo widocznie złośliwa potwarz jego była umyślną, chciał się bowiem tym sposobem zemścić za odebrane mu kilka rubli, które już trzymał w garści.

O maskaradach niema już co mówić, schodzą one z pola; nawet trzecia i czwarta pod względem liczebnym okazały niższe daleko rezultaty, aniżeli zeszło-

roczne. Na piątą zaledwie tysiąc dwieście zgromadziło się osób. Bo i cóż czynić na tych zebraniach? kogo tu intrygować? Młodzież nasza strasznie jest realistowska obecnie i pragnie być o wszystkim dokładnie zawiadomiona. Nie zaintryguje jej ani zgrabna kibić, ani drobna rączka, ani głosik piękny, ale zochotę biegłaby za maską, któraby okazywała obecnym spory worek napełniony złotem, albo pugilares napełniony asygnatami. Podobno to najskuteczniejsza teraz intryga, bo zawsze prawie dochodzi pomyślnie do końca. Niechby tam już jakabądź maska została na twarzy, byleby kieszeń była pełną. Ale niestety, tego rodzaju intrygowanie nie weszło w modę na podobnych zabawach, a zresztą byłoby ono może i niebezpieczne dla intrygujących. Więc maskarady znikają i przechodzą w życie, z tą tylko różnicą, że już nie twarz ani dowcip stanowią tu intrygę, ale jedni drugich starają się zaintrygować wykazami hypotecznymi, oraz innymi tego rodzaju najpożądalszymi przyborami uczuć miłosnych.

Obrazy sędziów konkursowych trwają jeszcze ciągle, chociaż, o ile nas zapewniono, za tydzień rezultat ma być już podany do wiadomości publicznej.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MUZYKA.

Koncerta St. Taborowskiego. Przedsięwzięcia miast prowincjonalnych, w celu zasilenia funduszem mający się wznieść Instytut muzyczny.—Nowe wydawnictwa.

Gdyby nam potrzeba było szeroko rozwodzić się o dwóch koncertach Stanisława Taborowskiego, danych w salach reutowych d. 15 i 22 b. m., musielibyśmy powtarzać to, co się już w różnych miejscach i o różnych artystach tysiąc razy powiedziało, a co was, szanowni czytelnicy, nie bawiłoby wcale. Więc ograniczymy się na tych kilku słowach: że koncerta te dosyć się udały, co w dzisiejszych czasach jest rzeczą niemałej wagi; że Taborowski posiada talent niezapręczony, lubo za wcześniej studia swe naukowe przerwał. Skrzypce są instrumentem niezmiernie trudnym; dla objęcia i opanowania całego na nich mechanizmu, oprócz wrodzonych zdolności, niemałej liczby lat ciężkiej pracy potrzeba, a nieszczęśliwa gorączka powodzeń i błyszczenia na świecie, ta istna choroba terażniejszego wieku, najgłówniejszą jest zaporą do systematycznych, zupełnych studyów, do rzeczywistego w sztuce postępu. Czy gra na skrzypkach wiele zyskała od pojawienia się Paganiniego? czy zdobyła jakie tajemnice, jakie nowe prawa nieznanne? czy położyła fundamenta nowej struktury w architekturze biegników i passażów wszelkiego rodzaju, po zgaśnięciu tego niepojętego meteoru w sferach koncertowego świata? oto są pytania które sobie zadać wolno, przysłuchując się niezliczonej rzeszy wirtuozów na tym instrumencie, a które zwykle nie na ich korzyść bywają rozwiązane. Więc gdy przyjdzie jednej i tej samej rzeczy, z mniejszą lub większą dokładnością wypowiedzianej, przysłuchiwać się bezustannie, przestanie budzić zajęcie, sprzykrzy się nareszcie, agdyby nie tajemne sprężyny nadające sztuczny pozór ożywienia koncertowym przedstawieniom, dawnoby one znikły z horyzontu muzycznego.

Z przytoczonych powyżej wyrazów łatwo się domyśleć, że gra Taborowskiego nic nam nowszego ani ciekawszego nad to, cośmy już wielokrotnie słyszeli, nie objawiła. Mechanizm niewykończony w szczegółach, nie pozwala mu być zupełnym panem instrumentu, a z powodu nadzwyczajnej odwagi, z jaką się rzuca do pokonywania nad siły swoje trudności, gra jego w biegnikach jest zamąconą, twardą, nawet nieczystą w intonacji. Czucie i ogień, oto główne zalety przemawiające na korzyść tego młodego artysty; ale jak z jednej strony palec, tak z drugiej smyczek, wypowiada mu niekiedy posłuszeństwo, zarzynając struny, lub drgajączbytecznie. Niedostatki te jednakże mogą być z czasem sumienną i usilną pracą pokonane, a wówczas pan Taborowski stanie zapewne w rzędzie wirtuozów, jacy sztuce muzycznej chlubę przynoszą. O twórczej stronie talentu jego przesądzać nie będziemy; ale w koncercie, który, nie wiemy dlaczego, nazwał *chromatycznym*, są dowody zdolności tak w pomysłach melodyjnych, jako i instrumentalnych; co zaś ma znaczyć nazwa *uvertury ce-*

sarskiej? doprawdy gubimy się w domysłach; bo ani formą, ani opracowaniem utworu tego uverturą mia nować nie można. Niepodobna zamilczec o p. Zawiszance, występującej także w tych koncertach, a przyjmowanej zawsze od publiczności z niezwykłą życzliwością. Żal nam istotnie, że ów talent nie będzie podzielać losów naszej opery narodowej.

W obecnej chwili, gdy to piszemy, prawdziwe polspolite ruszenie muzyczne odbywa się w kraju: z Kijowa, Kamieńca Podolskiego, Wilna, Lublina, Radomia i t. p. donoszą nam o mających się urządzać koncertach na dochód Instytutu muzycznego warszawskiego. Wykaz funduszy już zebranych gazety nasze niedawno przedstawiły, nie ma więc wątpliwości że wkrótce pożądana ich całość zebrana będzie, skoro z takim zapałem i gorliwością ludzie zaci krzątają się około dobra mającego w roku bieżącym wznieść się zakładu. Warszawa nie pozostanie w tyle za prowincjonalnymi miastami; chociaż wolniej bierze się do rzeczy, ale zapewne godnie swemu znaczeniu i stanowisku odpowie. Z osób stojących na czele tego ruchu muzycznego, wymieniamy na ten raz: Kocipińskiego w Kijowie, Krasieńskiego w Lublinie, Lazzeriniego w Radomiu; o innych osobach, zajmujących się zbieraniem funduszy w tym celu, później doniesiemy; gdyż, w przekonaniu naszym, trudy ich poniesione dla dobra sztuki muzycznej, choć publiczną wzmianką podzięką winny być nagrodzone.

Chcielibyśmy jeszcze powiedzieć słów parę o kilku nowościach, jakie świeżo w dziedzinie wydawnictwa muzycznego pojawiły się, lecz znużylibyśmy może czytelników „Tygodnika“; chociaż, Bogiem a prawdą, sprawa muzyczna jest dzisiaj żywotną kwestją dla kraju, i zapewne nikt nam za złe nie weźmie, jeżeli z troskliwością pilnujemy jej rozmaitych przejawów. A kto wie, może się i znajdą tacy? Wszak, rzadko wprawdzie, ale słychać głosy odzywające się z uprzedzeniem lub niechęcią o tej pięknej a niewinnej sztuce, utrzymując że muzyka rozmiękcza hart duszy, denerwuje ludzi, rozpieszcza ich naturę i t. p. dziwolągii! Włosi dotychczas uchodzili za najmuzycalszy naród na świecie, a przecież, gdy tego było potrzeba, pokazali iż jeżeli namiętnie przepadają za melodyjną kawatiną, umiętają też w danej chwili wydobyć z siebie energią niemniejszą od najhartowniejszych w wojennym rzemiośle ludów, na polu bitwy zajrzeć śmiało w oczy śmierci, a w dojrzałości pojąć o tajemnicach politycznego istnienia, za wzór wszystkim innym narodom postawić ich można. Ale porzućmy tę kwestją na ten raz, i choć pobieżną wzmianką kilka nowości muzycznych polećmy uwadze ogółu.

Nakładem Gustawa Gebethnera i spółki, wyszły wyjątki do śpiewu z opery Moniuszki pod tytułem „Hrabina“, o której mamy nadzieję w przyszłej naszej kronice dać już obszerniejsze sprawozdanie, — i romans na fortepian Józefa Nowakowskiego, nazwany „La violette“.

Michał Glücksberg wydał „Nocturne“ Henryka Komana i „Noc majową“, śpiew do słów Włodzimierza Wolskiego, ułożony przez Ferdynanda Dulckena.

ZALUCZE I BOREJKOWSZCZYNA.

Ze zbioru najcenniejszych moich pamiątek dostaję dwa obrazki, aby przez „Tygodnik Ilustrowany“ podzielić się niemi z ogółem znacznych współziomków, którym, jak mniemam, nie obojętnym będzie widok tych dworzków, gdzie jeden z najulubieńszych naszych poetów większą część życia swego przepędził. Będzie to u nas rzecz wcale nowa; dotąd bowiem darzono nas tylko portretami mężów wsławionych, lecz, ile przynajmniej mnie wiadomo, żadnego ze współczesnych pisarzy lub artystów krajowych mieszkania nam nie pokazano; a jednak, któż zaprzeczy, że ono równie nam jest drogiem i pełnym interesu, jak ich oblicze, i że nieraz może posłużyć do lepszego odgadnięcia i zbadania charakteru i nawyknień człowieka? Gdzieindziej oddawna to pojęto; Niemcy, Anglicy, a przed innymi Francuzi, w licznych dziennikach ilustrowanych niejedną już kartę ozdobili obrazkami domów swoich literackich, artystycznych lub politycznych znakomitości. Myśmy dotychczas chowali to na hołd pośmiertny, a nieraz wtedyśmy się dopięro obejrżeli, gdy już nietylko dom się powalił, lecz gdy i śladów jego znaleźć nie można było; często

więc serdecznego uczczenia zasług i uświęcenia pamięci musieliśmy tylko kopią grobowego pomnika dowodzić, i to jeszcze jeśli był pomnik na sławnym grobie, a nawet jeśli grób ten nie zatarł się bez wiesci! Dajże więc Boże, aby ta pierwsza próba dobrze się powiodła, i aby „Tygodnik Ilustrowany“ stał się szacownym zbiorem narodowych pamiątek tego rodzaju.

Macie tu przed sobą Załucze i Borejkwoszczyznę. W ostatniej dotychczas mieszka Syrokomla; w pierwszym przepędził najpiękniejsze lata swojej młodości i zasłynął, jako autor Gawęd i tłumacz poetów polsko-lacińskich.

Załucze leży w gubernii i powiecie mińskim, o parę mil od miasteczek Mira i Stołpców, nieopodal od Niemana, w okolicy smutnej, monotonnej, płaskiej, pokrytej w części olchą i łożą na rozległych łąkach i moczarach, w części sośniną, jodłą i jałowcem na suchych wydmach piaszczystych. Składa je tylko skromny domek mieszkalny, otoczony zwykłymi gospodarskimi zabudowaniami; wioska bowiem do folwarku tego należąca, znajduje się o wiorst kilka od niego, na drugim brzegu Niemna.

Tu Syrokomla osiadł najprzód z rodzicami, którzy około r. 1840 wzięli ten folwark w dzierżawę, a potem w r. 1844, ożeniwszy się, zaczął w nim już na własną rękę gospodarzyć i przemieszkał aż do 1853 r., w którym się przeniósł do Borejkwoszczyzny, o wiorst kilkanaście od Wilna odległej.

Wpatrując się w fizjonomię tych dworaków, któż między nimi a główną cechą utworów Syrokomli, uderzającego podobieństwa nie dostrzeże?

Jakkolwiek bowiem autor Margiera stoi wysoko w poezji historycznej, zawsze jednak sielanka i gawęda szlachecka będą najpiękniejszym kwiatem jego talentu, a najcelniejsze z nich, np. *Trzy gwiazdki*, *Dyfferencya*, *Chodyka*, *Bywało*, *O moim domku*, w Załuczu z pod pióra jego wyszły. W Załuczu, w tym ubożuchnym dworku, w tym posępnym, biędnym zakątku drogiej, ojczystej ziemi, na łonie życia rodzinnego, w stosunkach z niezamożną, pocziwą szlachcią i kmiotkami, piosnka jego natchniona, która uroczy barwą poezji otoczyła i te bagna, i piaski, i te zarośla i bory, i te szare kapoty zagonowców, i grube siermięgi kmieci, musiała koniecznie taką, a nie inną brzmieć nutą, musiała koniecznie być tak naturalną i prostą, jak ten świat który wieszczą otaczał. Sam też Syrokomla najlepiej to pojął i wypowiedział we wstępie do swoich gawęd:

Nie żal mi serca, i nie żal mi głowy,
Dla ciebie śpiewam, gminie szaraczkowy,
O tobie śpiewam i z tobą zespołę
Nadzieję, radość, i smutki, i bole!
Twojem powietrzem orzeźwię oblicze,
Od twoich ptasząt wyrazu pożyczę;
Niech się myśl moja z pod serca wygwarzy,
Nutą żniwiarską, w takt brzęku kosarzy.

Chciałbym przedewszystkiemi zwrócić uwagę czytelników moich na Załucze, które nawet jako obrazek, pomimo braku pejzażu, nie wiem czemu piękniejszym mi się od Borejkwoszczyzny wydaje. Może to jest skutkiem błogich, osobistych wspomnień z niemi powiązanych, może skutkiem tego, że wraz z całym krajem w Załuczu widziałem piękny wschód tej gwiazdki na horyzoncie poezji ojczystej; dosyć że w takim zostając usposobieniu, z największą przyjemnością patrzę na te proste budynki, które oto mam przed sobą. Większy z nich, na bocznym planie, jest to *stary domek*, nie wiem już przez kogo i kiedy stawiany, w którym Syrokomla przepędził kilka lat pierwszych swego tu pobytu; drugiego sam już był cieślą i pamięć jego powstania uświęcił rzewną, przesliczną elegią p. t. „O moim starym domku,“ z której nie od rzeczy kilka tu wierszy przytoczyć, jako objaśnienie obrazku:

Ej! za górą, za wysoką

Stare dęby z jednej strony,
Za dębami bawi oko
Nadniemeński brzeg zielony;
Z prawej strony bagno szlakiem,
Na bagnisku wierzbą wzrasta,
A na piasku, nad chróśniakiem
Szumi sośnina kołczasta.
W parkanową wjedź ulicę:
Stary domek w ziemię gnie się,
Krzywe ściany, a na strzesie



ZALUCZE.

(Rysował Polkowski, rytowano w drzeworytni „Tygodnika“.)

Mchem zakwitły już draniec;
Widać niebo z drugiej strony
Szczerbinami z między draniec;
To mój domek pochylony,
Lecz nie oddalby go za nie!
Czy bywało serce bije,
Uniesieniem, smutkiem, strachem,
Mnie najlepiej, gdy się skryje
Pod zakwitłym moim dachem.
Czy bywało radość wchodzi,



BOREJKOWSZCZYŻNA.

(Rysował Polkowski, rytował Kübler w drzeworytni „Tygodnika“.)

Ściany echem się odezwą;
Czy to boleść, znieść ją słodziej!..
Tu i płakać było rzeźwo.

Patrząc na tę chatkę ubogą, której Syrokomla, postawiwszy ją sobie w r. 1847, przesłał mi wizerunek, aby mi dać poznać nową swoją sadybę i pochwalić się nią przedemną, z dziwnym jakimś uczuciem ucisku i błogości przypominam czarodziejski pałacyk, który, jeśli mię pamięć nie myli, w tymże samym czasie budował sobie autor „Monte-Christa,“ na-

śladując fantastyczne zachcenia bohatera swego romansu, i z Afryki rzemieślników przywożąc do wykonywania ozdób na jego ścianach. Jeden z dzienników francuzkich, podając wizerunek tego pałacyku i opisując to cacko, w dowcipnym bardzo kontraście obok historii jego budowania, stawił historią budowania Wersalu przez Ludwika XIV. Szkoda że nie mam ani tego wizerunku, ani opisu pod ręką; bo ciekawym bardzo, jakby się też wydała chatka naszego wioskowego lirnika, obok pałacyku Monte-Christa?

jakby się wydały dwie postacie tych budowniczych, jednego sypiącego złotem znakomitym kunsztmistrzom i maurytańskim rzeźbiarzom, za urzeczywistnienie wybujałej jego fantazyj; drugiego serdecznym słowem i czarką z serca podaną dziękującego cieśli wiejskiemu za postawienie zrębów sosnowych, pradziadowskim obyczajem pocziwym. Ale dosyć już tego!...

Zakończę słowami Syrokomli, które lat temu dziesięć, w pół żartem wymknęły mi się z pod pióra, w liście do mnie pisanym:

Choć dzisiaj tych okolic ludzie nieciekawi,
Lecz jeżeli to prawda, co nam muza prawi,
Odżyją te piaszczyska, te bory, ta rzeka,
I ciekawy przychodzień zjawi się zdaleka,
By zobaczyć Załucze ..

Adam Pług.

HUSSARZE POLSCY.

II.

Hussarzy bezskrzydłowych z kopia-mi, widzimy już w czasach Zygmunta III. Zachował nam ich drzeworyt współczesny, pochodzący z roku 1624. Przedstawia on hussarza w pełnym uzbrojeniu, z hełmem stalowym na głowie, od którego spada na kark głęboko naszyjnik stalowy, zasłaniający zarazem uszy i szyję od cięcia szabli. Na przodzie tego hełmu jest umieszczony rodzaj skrzydła ruchomego, które sprawiało ten sam skutek szelestem swoim, co i skrzydło sępie, czy orle, z ramion wypływające. Skóra lamparcia, spięta pod szyją, okrywa jego barki: na ręce trzymającej kopią widać kołczugę, którą hussarz jest okryty.

Z pod lewego kolana sterczy długi koncerz; but z długą cholewą a ostrą małą ostrogą kończy hussarza ubranie. Koń żadnego uzbrojenia na sobie nie ma (*).

Był znowu rodzaj lekkiej jazdy, która nie używała ani uzbrojenia ciężkiego, ani kopij, a liczyła się do hussarzy; ale skrzydeł orlich lub sępiich nie miała u bioder, tylko przymocowane z tyłu kulbaki u siodła. Kiedy w całym galopie jeździec się przychylił, a skrzydła te ruchome i wyniosłe, sięgające nieomal głowy kawalerzysty, machały z poświstem, poruszone pędem wiatru, to zdawało się że konie skrzydlate pędzą na szeregi nieprzyjacielskie, i popłoch niezawodny sprawiały. Całym uzbrojeniem takiej jazdy lekkiej hussary, były tylko szabie doświadczone. Takich hussarzy przedstawiają nam ryciny z czasów Zygmunta III i Jana Kaźmirza. Ponieważ towarzystwo hussarskie składało się z najmajątniejszej młodzieży szlacheckiej, przeto gdy rygor wojskowy wolnieć między niemi zaczął, gdy starodawny duch rycerski zniknął, najpierw w ich chorągwiach pokazał się zgubny zbytek, który tę piękną instytucją i tyle zasłużoną krajowi podkopywać zaczął.

Szymon Starowolski opisuje szczegółowo niesłychany przepych, jakim się hussarze otaczali za jego czasów. Obóz stu hussarzy był jak małe miasteczko, gdy zwykle do czterystu wozów i rydwanów poczwórnych,

(*) Broszura w której znajdujemy pomieniony drzeworyt ma napis: „Rozmowa żołnierza o stacy,“ w Krakowie, roku pańskiego 1624, w 4ce arkuszy 2 i pół.

CIRCULUS VITIOSUS.

(Krakowiak na dwa głosy).

ON.

Wezmę świecę i latarnię i głównię z komina,
Pójdę szukać czy jest w świecie pocziwa dzie-
[wczyna.

ONA.

Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne
[słońce,
Może znajdę w którym chłopcu serce kocha-
[jące.

ON.

Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tém,
Że nie znajdzie najpocziwszej, kto nie brzę-
[knie złotem.

ONA.

Toć patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,
Że z nich każdy czule kocha, lecz siebie sa-
[mego.



(Skomponował i rysował Gerson, rytował H. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

ON.

Już znalazłem najpocziwszą, znalazłem ko-
[chaną,
Piękną, cichą, ale w sklepie.... lalkę malo-
[waną.

ONA.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam
[przecie,
Piękny, dzielny, wojak młody... na starym
[portrecie.

ON.

Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
To może wojak z portretu na konika skoczy.

ONA.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,
Może w lalce malowanej serce zakołata.

Gabryela.

a nawet i poszóstnych posiadał. „Spotkałem pod Rzeszowem (miasto dziś w Galicyi), roku przeszłego 1647, pana jednego chorągiew, która tylko 60 hus-

sarzy miała, a wozów przy niej naliczyłem 225, z których niemal połowa poczwórnych a poszóstnych była: Nuż koni luźnych, psów, białych głów i chłopiąt pieszo co niemiara“ (*).

Zbytek ten był i poprzednio. Krzysztof Chwalibogowski w *Dyskursie marnotrawstwa korony polskiej*, roku 1625, pisze: „Temi czasy na leży towarzysz bankietując, dał półmisków 130; przyszedłem do jednego hussarza, a on w rękowej pościeli leży, wsuwy (poszewki) kitajkowe, obicie, bławaty kosztowne, srebra dosyć.“

Za Władysława IV zbytek ten przeszedł wszelką miarę, hussarze bowiem wysilali się na odznaczenie w ubiorze, w jedzeniu, w mieszkaniu i przepychu uzbrojenia. Oni to zaczęli dawać na kraj cały młodzieży wzory mody zbytkowej; wprowadzili długie po pas kołnierze, podług nich strzyżono wasy i noszono czuprynę. Dostatkiem rozmiękczeni, swobodą bez hamulca zepsuci, radzi porzucali ciężkie zbroje, wspinały nawet ubranie hussarskie, a na zabawy i uroczystości przestrajali się dziwnie. Głowy okrywali kapeluszymi przybranymi w pióra kosztowne; aksamity włoskie, złote galony, łańcuchy złociste, posługiwały do coraz wymyślniejszych strojów. Klęski późniejsze narodu za Jana Kazimierza powstrzymały to wyuzdane zepsucie, wróciły hussarzom ich dawną dzielność i waleczność: nie było czasu zbytkować. Pod Janem Sobieskim następnie zajaśniali w całym blasku dawniej chwały i przywiązali swe imię do najważniejszych i najpiękniejszych zwycięstw odniesionych pod buławą króla-bohatera.

Zbytek ten, o którym wspomnieliśmy, najgubniej oddziaływał na samych hussarzy, po służbie bowiem wojskowej, zubożeni wracali na ojczysty zagon i tam, jak nam dosadnie maluje Daniel Bratkowski (**), z czasów Jana So-

bieskiego: zawiesiwszy szablę, zbroję i kopię na ścianie starego dworku, musieli się sami imać pług, ażeby z głodu nie umrzeć.

ckiego, znaleźli najsilniejszy opór nietylko w szlachcie ale i w hussarzach. Po tajnej naradzie, postanowiono ten kwiat rycerstwa zniszczyć, ale otwarcie wystąpić niepodobna było. Wiedząc że cała zaleta i przewaga hussaryi zawisała na dzielnych koniach, umyślono je podstępnie zniszczyć. Dlatego ze wszystkich stron, z pogranicza od Wołoszczyzny i stepów Ukrainy, nadchodziły fałszywe wieści o wkraczaniu Turków i Tatarów, i na mocy ich wydawano rozkazy do szybkich marszów, niby w chęci ścigania nieprzyjaciela. Urządzono tak pochody, że ciężka ta jazda robiła na dzień po dziewięć i dziesięć mil drogi. Dzielne konie wytrzymały te ciężką próbę, dopóki się okoliczności nie zmieniły, wskazując potrzebę uszanowania chorągwi hussarskiej.

Pierwszy hetman Jabłonowski, zwolennik cudzoziemszczyzny, co się kazał odmalować w peruce, kiedy podług zwyczaju dawnego powinien był rozdać nowe kopie i hojnie uraczyć hussarzy, kazał im wziąć muszkiety z bagnietami na sposób francuzki. Okrzyk niechęci zabrzmiał ze wszystkich stron i nie był daremny: wkrótce bowiem, gdy po śmierci Jana III nadeszła elekcyja, dowiadywano się o kandydatach jaką, który broń lubi? Książę de Conti, Francuz, ceniał tylko bagniet, elektor saski August miał gorący afekt do kopii; odprawiono tedy z kwitkiem Francuza, a okrzyknięto hurmem Augusta. Król ten, sławny siłacz, powrócił hussarzom kopie, które wraz ze skrzydłami przetrwały aż do ostatnich lat panowania Augusta III (*).

Pomimo zbytku i zepsucia, większość niemal hussaryi utrzymała dawny duch rycerski, skromność i pobożność. Każdy z takich towarzyszków nosił szkaplerz poświęcony, o który pocierał kule, by celu nie chybiły, i szablę, aby jej cięcie było pewne i niezawodne; prócz tego nosili pod zbroją obraz świętego patrona. Po wierzchu pod szyją zawieszali szeroki rym-



HUSSARZ POLSKI.

(Rysował J. Lewicki podług Della Belli, rytował H. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

Dzieje wewnętrzne narodu okazują wyraźnie, jak wielką miały przewagę w narodzie hussarskie chorągwie. Kiedy panowie polscy, spiknieni znową, chcieli pozbawić tronu nieszczęśliwego Michała Wiśniowie-

graf, z grubej blachy złotej lub srebrnej wykuty, na

(*) Prawy rycerz. 1648.

(**) Świat po części przejrany. 1697.

(*) Przed dwudziestu blisko laty żył jeden z szanowny obywateli ziemskich, który pamiętał jeszcze hussarzy z o-

którym był zawsze wizerunek Matki Boskiej. Na szablach swoich mieścili także wizerunek lub imię *Jezus*, a często napis: *Jezus, Marya, Józef*, a nad nim krzyż lub oko Opatrzności. Wiele takich szabli, równie jak ryngrafów, nosili konfederaci barscy, jako drogie pamiątki po swych ojcach. Zdobyte na nieprzyjaciela sztandary, równie jak własnebroje, pancerze, przyłbice, szable lub koncerze, hussarze zawieszali w kościołach na ofiarę rycerską Bogu; w ich też chorągwiach przetrwał najdłuższy zwyczaj pobożnego śpiewania, czy to w pochodzie na nieprzyjaciela, czy przed samą bitwą, starodawną pieśń *Boga Rodzica*.

W gronie to tej starej hussaryi spędził młode lata, nabrał doświadczenia rycerskiego i ducha poświęcenia, wielki Stefan Czarniecki, posągowa postać naszych dziejów narodowych. *K. Wł. W.*

SPOKÓJ.

Słońce się zniża, niebo pogodne,
I zwierciadlane jak szyby wodne,
I wieczór jak sen spokojny.
Dobry On w górze, dobry i hojny!
On bez nazwania, co ten świat niski
Ustraja, jak dziecko własne,
W srebrne obłony, w szmaragdów błyski,
Co ranku w kwiaty jasne.

Do koła wzgórza zieleniejące,
A w dole łąka — na gładkiej łące
Ciemniejsze łóz arabeski;
A wszędzie taki spokój niebieski,
Że mi się zdaje że tu jest Eden,
Że w miejscu wczora stworzonem,
Pierwszy żyjący, stoję sam jeden
Pod szklanym niebios dzwonem.

Sam, sam, sam tylko? Dusza się zlekka
Tego sieroctwa... Ot, muszka brzękła,
Ot ptak poleciał przez liście!
Ot ścieżka czeka na czyjeś przyjście.
A tam na polu ludzie się bielą,
Ot i dolata ich śpiwka!
A tam po wzgórzu dymy się ścielą,
Ot chata! ot cerkiewka!

Pełno nas, pełno na bożym świecie!
Jest z kim podzielić się szczęściem przecie
Ile każdemu potrzeba,
Znajdzie się źródło, cieni i chleba;
Jednego ojca jedne my dzieci,
Od muszki aż do człowieka,
I równo słońce dla wszystkich świeci,
I równa nam opieka.

Piękna ta ziemia i żyć w niej pięknie!
Aż łąka się kręci, aż dusza mięknie,
Pełna miłości i zgody;
Bo świat ten pewnie tak jak ja młody,
I miłujący jak ja i zgodny,
I czuje roskoszy dreszcze.
W czyste natchnienia nazawsze płodny,
Jak moje serce wieszczę.

Kornel Ujejski.



W numerze 15 „Tygodnika“ zamieściliśmy końcówkę szachową: *mat za drugim posunięciem*, układu najznakomitszego szachisty warszawskiego, A. Petrowa. Dając w numerze 16 jej rozwiązanie, wskazaliśmy tylko pierwsze posunięcie białych, z uwagą że jakkolwiek posuną czarne, zawsze dostaną *mat* w następnym posunięciu; dla braku bowiem miejsca niepodobna nam było wypisać wszystkich tej końcówki wariantów, a zresztą liczyliśmy cokolwiek i na domysłność naszych amatorów szachowych. Gdy jednak obecnie z Warszawy i różnych stron kraju odbieramy listy z zapytaniami a nawet wyrzutami „że drukujemy zadania fałszywe“, „że próżno czas zabieramy na ich odgadnięcie“ i t. p., wypada nam więc szczegółowo rzecz całą objaśnić.

Po posunięciu białej królowej z H3 na C8, czarne suwać tylko mogą czterema figurami, to jest: koniem A5, laufrem C6, koniem E5 albo królową. Przejdźmy więc kolejno możliwe ruchy tych figur. — Koń A5 ma tylko jeden skok na C4, po którym koń biały B2 daje *mat* na D1. — Jeżeli czarne poruszą laufra C6, wtedy koń biały C7 daje *mat* na B5 albo D5. — Jeżeli czarne posuną konia E5, wtedy wieża biała D2 bierze pieśzka D3 + i *mat*. — Pozostaje tylko królowa, która jeżeli pójdzie na C4, to koń biały B2 daje *mat* na D1, — jeżeli na D5 albo B4, wtedy koń biały C7 daje *mat* na D5, — jeżeli zaś sunie na B5, C4, D6 albo zabije pieśzka E3, wtedy koń biały C7 daje *mat* na B5. — Kończówka ta jest jedną z najpiękniejszych i najdowcipniej ułożonych, jakie kiedykolwiek widzieć nam się zdarzyło, tępem bardziej że *mat* następuje za drugim już posunięciem, a jednak ile w niej trudności, ile zręcznie zestawionych kombinacyjl.....

Panu F. Ko. z nad Rosi. Prosimy o trochę cierpliwości; wszystko to będzie z czasem.

P. P. L. Z. w Lublinie, S. G. w Petersburgu i L. S. w Warszawie odpowiadamy, że nadesłanych poezyj, dla braku miejsca, drukować nie możemy.

Sprostowanie. W przeszłym nrze „Tygodnika“, na str. 151, w szpalcie pierwszej, pomiędzy ustępami zaczynającymi się od słów: „*To co dotychczas powiedziałaś*“ a „*Z minutę może ogólne panowało milczenie*“, opuszczono co następuje:

Ale dajmy już pokój temu. Czy się kto zgodzi ze mną czy się nie zgodzi, ja słów moich nie cofnę. Przypuśćmy więc żeśmy się na nie wszyscy zgodzili, nadzwyczaj lubię hipotezy.

— Przypuśćmy tylko, zastrzegła Olesia.
— Mnie nawet przypuścić trudno, odpowiedział pan Hilary.

— Na jeden wieczór, to pana do niczego nie zobowiązuje, prosiłam go bardzo pokornie.

— Niechże i tak będzie, zgodził się szanowny ziemianin.

— Ja tylko przez ciekawość ze stanowczym weto nie wystąpiłam, rzekła jeszcze pani Karolina. Istotnie, zgadnąć nie mogę, co z tej ostatniej hipotezy zrobisz?

— Przypuśćmy więc, mówiłam dalej, wszyscy jednomyślnie przypuśćmy, że jest prawo zupełnie uniewinniające tych, którzy przedmiot uczucia zmieniają. Dla mnie ten artykuł przekonania żadną a żadną wątpliwością nie jest zamącony; lecz mam wątpliwość inną, mam raczej inną do zaspokojenia ciekawość. Chciałabym wiedzieć, jak to sobie należy postąpić z kobietą, która nas kocha jeszcze, gdyśmy już ją kochać przestali?

KWESTYA PODRZĘDNA, PRZY KOMINKOWYM OGNIU ROZBIERANA.

(Opowiadanie *Gabryeli*).

(*Dokończenie*).

— Niezły pomysł, rzekłam wśród ogólnego śmiechu, nad którym czysty sopranik Olesi dziwnie przenikliwą nutą górował, wcale niezły pomysł; dałby się w jaką francuzką komedyjkę oprawić, lecz nie wiem, czy do rzeczywistości zastosowany miałby równe powodzenie. Słusznie powiedział pan Jerzy, że kobiety muszą zawsze coś kochać; jeszcze słuszniej mógł się wyrazić, że wszyscy ludzie cośkolwiek, lub kogokolwiek kochać muszą. Dlaczego tak zupełnie mężczyzn na boku pod tym względem zostawił, trudno mi pojąć. Nie wyobrażam sobie żadnego człowieka człowiekiem, bez miłości. Mniejsza o to jednak, niech sam pan Jerzy za niedokładność wyrażenia odpowia-

da; ja biorę je w domyślnym znaczeniu i całej płci naszej imieniem dziękuję panu, żeś tak łaskawie wyższość w najwyższej zdolności ludzkiej nam przyznał. Oh! gdyby prawdą były słowa pana, gdyby to się dało snuć życie swoje z ciągle nowych, a ciągle żywszych i piękniejszych wrażeń, gdyby co się złamie odrzucać, co zgorzknie wypluwać, co przeszkodzi omijać, co zamierzchnie rozjaśniać; a rąk nie strudzić, smaku nie omdławić, nóg nie zmęczyć, światła, ciepła, siły nie wyczerpnąć! Gdyby, oh! gdyby... to niejednemu pewnie i do skończenia świata umierałby się nie chciało. Lecz tu na naszej zastygłej planecie, między dwoma lodowatymi biegunami, fatalnie jakoś prędko uczuciowe ekspensują się zasoby. Na miłostki, jeszcze jako tako stać lekkomyślników; na miłość prawdziwą kiedy się kto zdobędzie, to osobliwość rzadka, a im na prawdziwszą się zdobędzie właśnie, tępem zupełniej całą istotność w niej utopi i gdy mu włożony kapitał przepadnie, do ostatniego bankructwa przychodzi. Ach! panie Jerzy, chciałeś wyśmiać kobiety, które z miłości do miłości, jak królowe z pałacu do pałacu przechodzą; jabym przed nimi nader pokornie głowy uchylała. Chciój bo pan tylko zastanowić się chwileczkę, co to za najjaśniejszą panią, co to za wróżką Urgelą być trzeba, żeby sobie stratę jednego uczucia, drugim wynagrodzić. Zmiana uczucia jest zupełnie inną rzeczą, ale strata!... Ot, niech pan sobie wyobrazi: za wszystkie skarby ducha uczta wyprawiona, tysiące świec jarzących goreje, muzyka samą najczystsza płynie melodyą, skrzę się dyamenty, rubiny, szmaragdy, serce wierzy niezłomnie, myśl ulata wysoko, dłoń, tą drugą dłonią podparta, w potęgę cudów silnieje; aż tu nagle piorun uderza, i wszystko, wszystko... popiołem. Kto z popiołów nowy zamek wzniesć potrafi, kto drugi równie suty bal dać może, temu chyba dwa życia, dwie dusze, dwa działy skarbów dziedzicznych ojców co jest w niebiosach przez łaskę wydzielił... Ja tak uprzywilejowanej nie spotkałam istoty. Natura ludzka biedną jest aż do nędzy; jej trudno raz szczerze kochać, a chcesz pan, żeby zaraz, powtórnie, kogoś innego na twoje miejsce ukochała? Plan strategiczny w głównym punkcie wadliwy, improwizacya z natchnienia zupełne „*fiasco*“ zrobiła... w moim przekonaniu.

— Gardzi pani improwizacyą? mogę ten przedmiot wziąć ze strony czysto naukowej, historycznej na przykład. I tak, o ile wiem, w Hiszpanii królowie do klasztoru pakowali wszystkie kochanki, które im się sprzykrzyły.

— Teraz trudno byłoby ich naśladować, przymus wyszedł z użycia, odezwał się pan Adolf.

— A ty nie wiesz czém można przymus zastąpić? zwrócił się ku niemu pan Jerzy. Nieoceniony! rzadki człowieku! pozwól niech cię w twoją arkadyjską głowę ucałuję. I z najspokojniejszą miną przechyliwszy w swoją stronę czoło wrywającego się pana Adolfa, w sam środek je pocałował. Moi państwo, rzekł potem do nas, nie wszyscy są tacy jak nasz Adolf. Mam innego jeszcze przyjaciela, przyjaciela nie od serca, ale od gawędki. Nadzwyczaj miły w towarzystwie, między kobietami świecznik, między młodzieżą wzór, powagom wszelkich stanów ulubieniec; od niego właśnie nauczyłem się, jak to można ze skutkiem i korzyścią hiszpańską metodę do dni naszych zastosować. Był on w takim właśnie, o jakim mówimy kłopotcie: koniecznie chciał się pozbyć miłości już nie kochanej kobiety. Rozwinał tedy plan kampanii daleko, oh daleko genialniejszy od moich strategicznych przebiegów. Najpierw sobie samemu przypiął skrzydła szerokie i uleciał w obłoki. Eter piersi mu wypełnił, gwiazdy dyamentowe deszczem kapały na jego kamizelkę, zaskrzyło słońce tysiące, zawarczały komety! Co rozmowa, to jakiś wyższy podlot, co projekcik, to jakiś świętszy zamiar. Wśród sfer niebieskich rozlegało się echo najpiękniejszych wyrażen: „opuścić wszystko dla Boga i wszystko znaleźć w Bogu, wypalić serce swoje ofiarą nieustanną, cierpieć, rzekać się, rozstawać z ziemią coraz bardziej, a nakoniec pchnąć ją w przepaść znicestwienia obcasem swego bóbika i rozpląnąć się w blaskach, w harmoniach, w nektarach zaświatowych“... Łatwo się państwo domyślicie, że rozkochana kobieta nie mogła tak daleko od siebie w samotności pustelniczkiej, choć empirejskiej, ulubionego zostawiać; jej także białe pióra u ramion wytrysły, frunęła w górę... i los się rozstrzygnął. Pobożny kochanek wnet aureolą cherubinową zwieńczył przywabioną w nadziemskie oko-

sów Augusta III, ze skrzydłami i kopiami. Poznałem go w gościnnym domu s. p. Klemensa Wilkońskiego, we wsi Górzno. Był to czcigodny starzec, prawie stuletni, obywatel ziemski, p. Paschalski, sąsiad poblizki. Kiedyśmy weszli na tór rozmowy o dawnych czasach, z całą przytomnością umyłu opowiadał mi, jakie wrażenie na jego umyśle młodzień-ym robili hussarze, opisywał ze szczegółami ich uzbroje-skrzydła, hełmy, kopie i wreszcie koncerze

lice: „Tyś wybrana pańska, twoje stopy nie powinny dotykać pyłu ziemskiej drogi. Ach! jak ty lekko bujasz w nieskończonościach! ach! jak ty jasno świecisz w twoich zachwytach! ach! jaka z ciebie lilia między cierniami! Ja nie śmiem cię kochać, ja nie powinienem cię kochać, ja cię nie Kocham, ja cię wielbię tylko!“ I tak stopniowo, stopniowo, dociągnął aż do chwili, w której przekonał swoją zanieloną, że dla większej chwały pana Boga, ona się musi życiu klasztornemu, on brudnym troskom tego świata poświęcić. I tak się stało: ona poszła do klasztoru, on się z młodszą, piękniejszą i bogatszą przez poświęcenie ożenił.

— A czy pan myśli, że to było z jego strony tak bardzo grzesznym podstępem? odezwała się panna Wiktorya. Może względnie do jego własnego sumienia Bóg go surowiej osądzi; ale względnie do kobiety którą porzucił, wszystkie mu winy odpuszczone być mogą, gdy tylko zapobiegł ostatecznej ruinie jęj życia, gdy uprzedził te bluźniercze słowa przez pana Jerzego wspomniane; te słowa, które w najgorszych, w najcięższych do przebycia chwilach mimowolnie z ust wypadają, a są prawdziwie potępiającym wieczność naszą wyrokiem; te słowa szkaradne, głuche, jak chaos przed stworzeniem świata milczący, puste, jak nicość pustą po świata rozbiciu będzie; te słowa, które szatan musiał, lub kiedyś jeszcze musi, wyrzec z piekielną boleścią: „Już nie mam kochać kogo!...“ Wierz mi panie Jerzy, nie pytam o intencję, nie śledzę i nie podejrzewam celów pobocznych. Każdemu kto od tych słów wargi czyje ustrzeże, wdzięczność niech ustrzeżeni święcą... a ja błogosławie.

— Vivat! bravo! ellien! przyjacielowi pana Jerzego wykrzyknęła Olesia. Co za koncept szczeró-złoty, na dewocyi osadzać zdradzone kochanki!... Ale jeszcze złożmy radę, panno Wiktoryo, gdzie lepiej, czy u wizytek, czy u felicyanek?

— Nie sprzecajmy się między sobą, przestrzegła pani Karolina, ztąd tylko dla tych panów naszym koszem zabawa. Alboż nie widzicie jak pan Adolf złośliwie się uśmiecha? alboście to nie poznały, że pan Jerzy dowcipne tylko i ciągle „z natchnienia“ improvizuje anegdotki?

— Ostatnia jest monograficznym ustępem bieżącej historii, proszę mi wierzyć, bronił się oskarżony.

— Niemniej przeto jako bardzo „sztuczną“ anegdotkę, jeśli nie pana, to owego przyjaciela uważać ją trzeba; znamy zaś wszyscy przysłowie, że sztuka na raz tylko się udaje. O klasztornym życiu pełno, jak widzę, między ludźmi utrzymuje się przesądów. Panna Wiktorya nawet mniema, jak się zdaje, że tam wiele, wiele kobiet z sercowych zawodów wstępuje, a Olesia, to aż się zlekła takiej przyszłości i śmiechem oburzenia zaprotestowała. Tymczasem ja mam dwie siostry zakonnicami, i mogę wam z największą pewnością ręczyć, że białe i czarne welony żadnych światowych żalów i wspomnień nie osłaniają. Zakonnicą dzisiaj zostaje się z powołania jedynie. Wy profani, może nie rozumiecie, może nie słyszeliście nigdy co znaczy ten wyraz „powołanie“. A wiecie co jest talent, co głos do śpiewu; oto powołanie jest talentem ducha, jest głosem do śpiewu modlitwy. Kto nie ma powołania, ten nowicyatu nie przetrwa, zarówno jak nie mający talentu, do orkiestry przyjętym nie zostanie, pozbawiony dźwięcznego głosu i trafnego ucha, w operze nie wystąpi. Wiolonczelistą, tenorem, felicyanką, wizytką trzeba się urodzić koniecznie. Jeśli czasem, w chwili rozpacz, rzuci się kto za kratę klasztorną, to wiem że go tam wtedy starają się uspokoić, pocieszyć, ale nadewszystko copędzją na świat wypuścić. Moje siostry wiele mi takich opowiadały zdarzeń.

— Więc cóż? rzekłam, zwracając się do pana Jerzego; słusznie i rozsądnie mówi pani Karolina. Klasztor pono nie wyciągnie z kłopotu różnych Heliodorów; o inny pomysł prosimy. Czy pango ma na pogotowiu?

— Pomysłu nie mam, pani przecież zakazała w tak ważnej kwestyi pomysłami się bawić, ale mam inne, historyczne wzory. Henryk VIII ścinał głowy swoim żonom, gdy je kochać przestawał.

— No proszę, pocziwy Tudor! westchnęła Olesia. Że też to ludzie zawsze niesprawiedliwi; okrutnikiem, tyranem go zowią, a jak się kto bez uprzedzenia zastanowi, to musi przyznać że był litościwszym, miłosińszym od massy dziś po ulicach przechodzących najpospolitszych tużurków i fraków. Ja głosuję za systematem Tudora.

— Nie byłabym od tego, rzekłam, na lepsze skupienie myśli bardzo mocno palec do czoła przyciskając. Jest racja, jest obustronna korzyść; ale mi jedna tylko trudność na zawadzie staje: kodeks karny. Przecież i hrabia Choiseul Praslin nie był gorszym od Henryka VIII, a sąd przysięgłych byłby go na rusztowanie skazał, gdyby trucizna spieszniej od sądowych inkwizycji nie działała.

— Co mi tam do kodeksu, pogardliwie moję uwagę odparła Olesia. Kodeks niech się w sprawy zakonnych nie miesza. Jeśli komu jest przyjemniej być zabitym niż opuszczonym, to do kodeksu nic a nic nie należy; jeśli zaś kodeks pływłaszczyl sobie zbyt daleko sięgającą władzę, to do ludzi walka z uzurpatorem należy. Męzczyzna zwłaszcza w każdym kroku swego życia odważnym i śmiałym być powinien: wypadło mu z konieczności moralnego postępu, jak Gabryela utrzymuje, czyjeś serce rozdeptać, niechże się potem nerwowo nie lęka z tego serca krwi trochę upuścić czerwonej. Zamordować biedną duszę młodą, osamotnieniem, bezwładnością, niewiarą na długie lata pierś ofiary przydusić, a bać się jęj na szyi wążką kręseczkę nożykiem zakroić, bać się dlatego, że kodeks niewyrozumiały, że jakieś episyry ukarać nas mogą!... Fe! brzydzę się takim tchórzostwem. Panu Jerzemu wszystkie jego dzisiejsze usterki odpuszczam za to wspomnienie Henryka VIII; jest nadzieja, że przy zdarzonej sposobności potrafiś pan arcy-wzór dziejowy naśladować i uznasz w sumieniu swoim, że lepiej zawsze życie, niż szczęście odebrać.

— Najpokorniej przepraszam pannę Aleksandrę, lecz się tego nie podejmuję; wolę być w zgodzie z kodeksem, jak... .

— Jak z sumieniem, przerwała mu niecierpliwie.

— Jak z panną Aleksandrą i Henrykiem VIII.

Panna Wiktorya znów się między poważnionych wdała:

— Dziwi mię to, rzekła, dlaczego dotychczas nikomu tutaj na myśl nie przyszedł najprostszy i najpocziwszy sposób rozwiązania rzuconej przez Gabryelę kwestyi. W lepiej dobranym jednak od wielu innych znajdujemy się towarzystwie ci panowie szczególnie, których to solidarniej obchodzić powinno, jakiegokolwiek są w ich charakterze i zdolnościach różnice, mają wszyscy reputacją nader znacznych i prawych ludzi. Każdy z nich mógłby skarbiec klejnotów koronnych pod swoją strażą bez rejestru trzymać; tymczasem, gdy się spytano: jak sobie postąpić z kochającą jeszcze, a nie kochaną już kobietą?... ten radzi by ją zapomnieć, tamten by oszukać, jest mowa o wtrąceniu do klasztoru, o morderstwie nawet, tylko o tém mowy nie było, żeć się godzi najpiérw przed nią samą ze zmiany swych uczuć wypowiedać. O ile znam naturę kobiecą, o tyle ręczyć pod przysięgą mogę, że niema takiej Medeji, któraby wtedy najgrzeszniejszemu Jazonowi nie przebaczyła. Cóż bo w podobnych zdarzeniach jest górującą, sroższą nad inne boleścią? Wierzcie mi państwo, nie to, co złe namiętności rozbudza, ale to, co w nas władzę dobrego zabija. Gorzką bez wątpienia jest myśl rozdziału, upokarzającym złożenie berła i korony na rzecz szczęśliwszej piękności, rozpaczliwem częstokroć wyrzeczenie się tego słowa „najwięcej“. Ależ od wszystkich żalów, zazdrostek, upokorzeń, daleko okropniejszą jest wiara nasza zachwiana, świętość nasza zbłocona. Burza gwałtownych a ujemnych namiętności z biegiem czasu koniecznie przycichnąć musi: im silniejsze będzie nasze miotanie w zawieruchach, tém prędzej członki znuży i snem sklepi powieki. „Wróci spokojność, wróci,“ ale przytępiona ducha naszego potęga nie wróci, ufność odleci, cześć ideałów przepadnie na wieki. Trzeba będzie do grobu, jak kulę galernika, wlec za sobą podejrzliwość, zwątpienie, szyderstwo. A czemu? bo ten, który nas opuszcza, staje się zwykle w stosunku z nami dziwakiem niesprawiedliwym, kłamacą nieszczerym, grubianinem nawet bezlitośnym. Widziałam ja tego przykłady, podsłuchałam niejedno wyrażenie, co niby w kleszcze żelazne zbolące serce ujęło, niby łomem marmuru westchnienia, łkania i skargi przygniotło. A doprawdy trzeba widzieć, trzeba słyszeć, żeby się przekonać, do jakiego stopnia na téj drodze przeklętej ludzie, z innych względów bardzo ucywilizowani, po afrykańsku dziczej. Co to za chęć oszukania! jakie przebiegi zręczne i niezręczne! jakie zimne okrucieństwo, które się dostrzeżonem cierpieniem nudzi i niecierpliw! A te wykrzykniki szatańskie, te spostrzeżenia krytyczne: „Zrobiłaś się

nieznośnie wymagającą. No, czegoż chcesz? przyszedłem, a ty się jeszcze mazgaisz; istotnie, lzy ci w chroniczną chorobę przechodzą. Dziwną też sobie kokardę przypięłaś do włosów. Spozrzegam się, że ty wielu wyrazów czysto nie domawiasz, seplenisz, moja droga. Nie graj tak huczno, nie śpiewaj tak ślamazarnie“ i tym podobnie. A wszystko to nietylko obelgą na poczucie naszej godności osobistej pada, wszystko jeszcze do protokołu w obec sądów rozumu się zapisuje i wyrokiem ostatecznym najstraszliwsze udęczenie nam znaczy: pogarda dla tego, co był czi naszej przedmiotem. Utrata szczęścia, osierocenie przyszłości, niczem jest w porównaniu z tą jedną przecierpianą torturą. Człowiek żyje nie pewnością obecnej chwili, jutra każdego zawsze trochę się lęka; więc co mu dzisiaj z rąk się wysunie, czego na jutro mieć już nie może, to w naturalny bieg przeznaczenia mu się układa. Żal rozbudzony zmiennością ukochanego, równa się żalobnemu za umarłym żalowi; lecz pogarda gorsza od śmierci, pogarda wydziéra nam jedyną, zupełną własność naszą, wydziéra nam przeszłość całą, że nie mamy, że mieć już nie będziemy... . Smutném to jest! oj smutném! Ale powiedzić sobie że nie mieliśmy nigdy, że co było, nie było, że uzbierane klejnoty wspomnień prochem tylko i zgnilizną, że powołane do życia i ruchu wszystkie siły, uczucia, zdolności istoty naszej, to pomyłka piérwso-kwiecniowa, że cośmy kochali, tegośmy nie kochali właśnie, bo miłość przylega do prawdy, uświęca się prawdą, rozwija się w prawdzie jedynie, a tam był fałsz, tam była próżnia, tam było zaprzeczenie; — powiedzić to sobie, stracić wiarę we własny instykt dobrego, zwątpić o gruncie własnej duszy, czuć się niejako współwinną za upadek, za nikczemność, za gatunkową podłość wybranej ukochaniem naszym natury... . no, przyznajcie państwo, czy sobie wyobrażacie większe, gorsze i brudniejsze nieszczęście? A jednak tego to nieszczęścia łatwo bardzo kochającej kobiecie zaoszczędzić można: stanąć przed nią z wyznaniem nieobłudném, odwołać się do jęj szlachetności, zostawić szacunek, gdy się wyłączność uczucia odbiera, blask tego co minęło bez skazy uchwycić, miłość na przyjaźń zamienić. Ja myślę że każda, lub prawie każda kobieta z wdzięcznością na to przystanie, a może... . może przystanie bez boleści, radośnie... . Szalone czasem są te kobiece serca, ani daném jest przewidzić komu, na jakie heroizmy się zdobędą, jak zupełnie potrafią w cudzym życiu, w cudzych losach osobistość swoją zatracić, i cieszyć się radością ukochanego, i pragnąć jego pragnieniem, i dążyć ku jego celowi.

— Pani się dziwiła, że nikt o tak prostym nie pomyślał sposobie, przemówił wtedy pan Hilary. Owszem, ja zaraz od początku rozmowy o tém myślałem; ale nie wierzę by istnieć mogły takie kobiety, o jakich pani na końcu wspomniała. Nie jest to wcale z méj strony uchybieniem; zdaje mi się że w interesie własnej godności nawet, żadna z pań życzyby sobie nie powinna tak wysoko posuniętej, lub raczej zepchniętej tak nisko zdolności poświęcenia. W tym jednostkowym kierunku nosiłaby ona raczej charakter niewolnictwa lub cerografowego poddaństwa, a nie charakter miłości kobiecej. Toć to istnie jak gdyby się dobra dusza diabłu zapisała. Nie, ja na podobne heroizmy nie liczę; dlatego też, kiedy pomyślałem że najprostszą byłoby drogą, pójść i bez ogródki do wszystkiego się przyznać, zaraz mi w oczach stanęła załzawiona twarz téj biednej, choćby najłagodniejszej, najcichszej Medeji. Mówcie panie sobie co chcecie, nazwijcie mię tchórzem nikczemnym; ja wiem że nie lękałbym się lufy pistoletowej i bagnetu w piersi godzącego; lecz przeciw łzom i boleści, której sam byłbym powodem, nie czuję w sobie odwagi. Im więcej kochał drugą kobietę, tém lepiej we wszystkich odcieniach pojmowałbym, co się dzieje w sercu wydziedziczonem z miłości. Naprózno swój smutek ukryć chciała przed moim wzrokiem; niechby wspaniałomyślnie twarz do uśmiechu zmusiła, niechby głos drżący do najweselszego diapazonu dociągnęła, wszystkoby zawsze i dojrzał, i odgadł, i rozumiał. Jęj lzy tajone każdą chwilę późniejszego uniesienia by mi zatrwały. Według już stanowczo przez panie ogłoszonego wyroku, z kobietą nie kochaną, zwłaszcza téż inną kochając, zenić się nie godzi. Bardzo uznaję słuszność tego prawa; ale przecież... . gdy jedno z drugiem podsumuję, to mi się zdaje, że wołałbym chyba tak kochanej jak niekochanej się wyrzec i... . nie ożeniłbym się wcale.

— Co według statystyki, zauważałam półgłosem, w miejsce jednego, przyczyniłoby społeczeństwa aż trzy nieszczęśliwe, złamane, bez sensu przez życie wlokące się indywidua.

— Więc cóż zrobić z taką kobietą? zawołał pan Hilary.

— Jak też to trudno, ciągnęłam dalej spokojnym tonem naukowych spostrzeżeń, jak trudno jeszcze w 1859 lat po narodzeniu Jezusa Chrystusa, zle od dobrego, nadużycie od ustawy, fałsz od prawdy, to co się godzi od tego co się nie godzi rozróżnić. W naszej oto małej, siedmiogłowej gromadce zdobyć się nie możemy na zgodne osądzenie moralnej doniosłości bardzo pospolitego zdarzenia, i nie możemy wydać jednomyślną uchwałę względem bardzo często przytrafiających się powikłań. Cóżby to było gdyby...

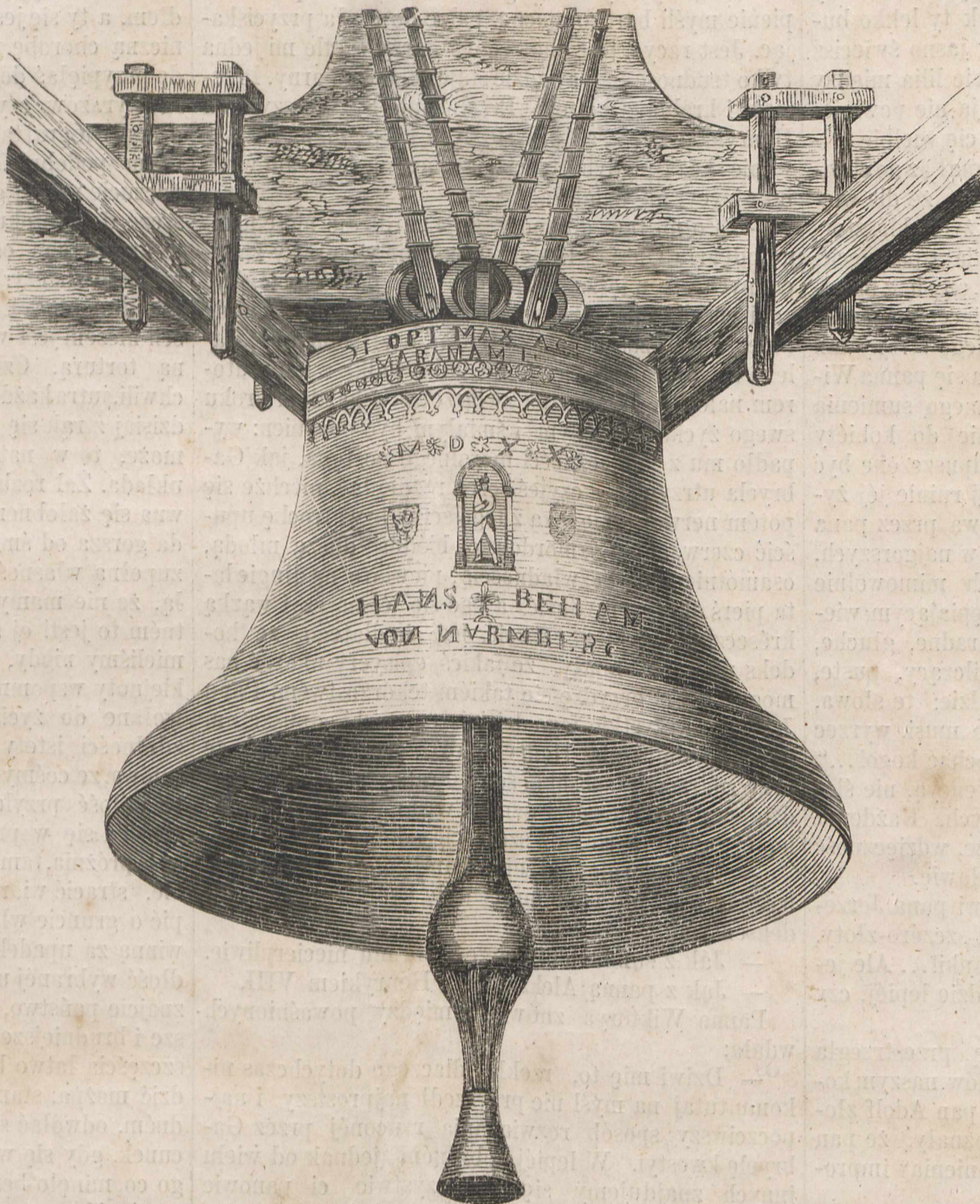
Wtém nowi goście weszli do pokoju; rozmowa ku innym zwróciła się przedmiotom. Tylko pan Hilary na uboczu raz mię jeszcze zapytał:

— Więc cóż zrobić z taką kobietą? Niech mi pani powie?...

— Ha, cóż zrobić? powtórzyłam, nad każdą prawie zatrzymując się sylabą. Uciec od niej, to brzydko, zapomnieć, to nie od ludzkiej woli zależy, do klasztoru wtrącić, trudno, zabić, niewolno, zdać się na jej łaskę i niełaskę, zbyt przykro. Więc co zrobić?...

I namyślałam się przez chwilę głęboko, a po chwili rzekłam:

— Co zrobić z taką kobietą, która was kocha jeszcze, gdyście wy już kochać przestali?... Doprawdy, panie Hilary, ja nie wiem.



DZWON ZYGMUNTA I. W KRAKOWIE.
(Rysował Polkowski, rytował Müller w drzeworytni „Tygodnika“.)

i Litwy; poniżej nazwisko ludwisarza który go odlewał; powyżej zaś napis następujący:

D. O. M. ac Virgini beatissimae sanctisque Patronis suis, Sigismundus Poloniae Rex, campanam hanc, dignam animi operumve ac gestorum suorum magnitudine, fieri fecit. Anno 1520.

Co znaczy po polsku:

Bogu i przenaajczystszej Dziewicy, oraz świętym patronom swoim, Zygmunt król polski odlać kazał ten dzwon, godny swym ogromem dzielności jego i spraw dokonanych. Roku 1520.

W Krakowie utrzymuje się dotąd krotochwilna o dzwonie tym dykteryjka, którą mieszczenie tamedzni podchwytywać lubią nowoprzybyłych do grodu swego gości. Mawiają oni że: „gdy na Boże Narodzenie zadzwonią w Zygmunta, to głos jego słycać aż do Wielkiej Nocy“. I nic w tém dziwnego, bo w pobliżu starej stolicy Jagiellonów znajduje się wioska nosząca miano *Wielkanoc*.

Oprócz dzwonu Zygmunta, są jeszcze na zamku krakowskim trzy inne, mniejsze, znane pod nazwiskiem *srębrnych*, umieszczone w wieży osmiokątnej. Głos ich przyjemny każe się domyslać, że w mieszaniu z jakiej zostały odlane wiele znajdować się musi srebra. Przypomina to istniejący niegdys w Polsce i innych krajach Europy zwyczaj, że do roztopionego na dzwon kruszcu, monarcha dorzucał nieraz pierścień kosztowny, a możniejsi panowie złote i srebrne ozdoby lub pieniądze. Skoro dzwon po odlaniu zastygł, zawieszano go w dzwonnicy z wielką okazałością, nadawano mu imię i odbywano chrzest z ceremonią religijną.

DZWON ZYGMUNTA I. W KRAKOWIE.

Bo odgłos dzwonu ma cudne zalety,
Nieraz uczucia drzemiące przebudzi,
I serce jego tkliwsze niż poety,
Chociaż tak zimne jak uczonych ludzi.
Edm. Wasilewski (Dzwon wawelski).

Oj, tkliwe bo musiało być to serce żelazne trzywiekowego starca, tkliwsze od wielu serc młodocianych i żywych, kiedy pękło, witając rok nowy w prastarym, ojczystym swoim grodzie! To serce, co kiedyś rozbudzało dzwon Zygmunta, zwiastując mieszkańcom dawniej polskiej stolicy zwycięstwo Jana Tarnowskiego pod Obertynem nad wojskami wołoskimi (22 sierp. 1531); co potem dźwięki uroczystymi zagrzewało do czynu walecznych obrońców Krakowa, pod wodzą dzielnego „trzepaczki“ naszego, (jak go nazywa pan Jan Chryzostom Pasek) Stefana Czarnieckiego. Ale zostawmy te wspomnienia przeszłości, które czytelnik z łatwością sam sobie dopowie, a przystąpmy do rzeczy.

Niedawno ogłosiły gazety, że kiedy dzwon Zygmuntański wspaniałym swym głosem zęgnął rok stary, dostrzeżono że serce w nim nieco się nagięło, i po bliższym rozpatrzeniu znaleziono w górnej jego części nadłamanie. Pęknięcie było tak głębokie, iż cała grubsza i dłuższa część serca trzymała się tylko na cienkiej warstwie żelaza, i z łatwością dołamano je do reszty. Przystąpiono zaraz do spojenia części przerwanych, czy też przekucia na nowo serca, i dziś już spiżowe to dziecię Jagiellonów kołysze się na nowo w napowietrznej swj strażnicy, w takiej postaci, jak to przedstawia powyższy rysunek, wzywając lud Boży do modłów i do pracy.

Dzwon Zygmunta, jeden z większych dziś istniejących w Europie, ma 9 stóp średnicy, a do poruszenia jego potrzeba ośmiu silnych ludzi. Szczupłość jednak wieży w której jest zawieszony i małe w niej otwory okienkowe tłumią nieco dźwięczny i poważny głos tego olbrzyma. Na froncie jego widać postać fundatora dzwonu, Zygmunta I; obok herby Polski

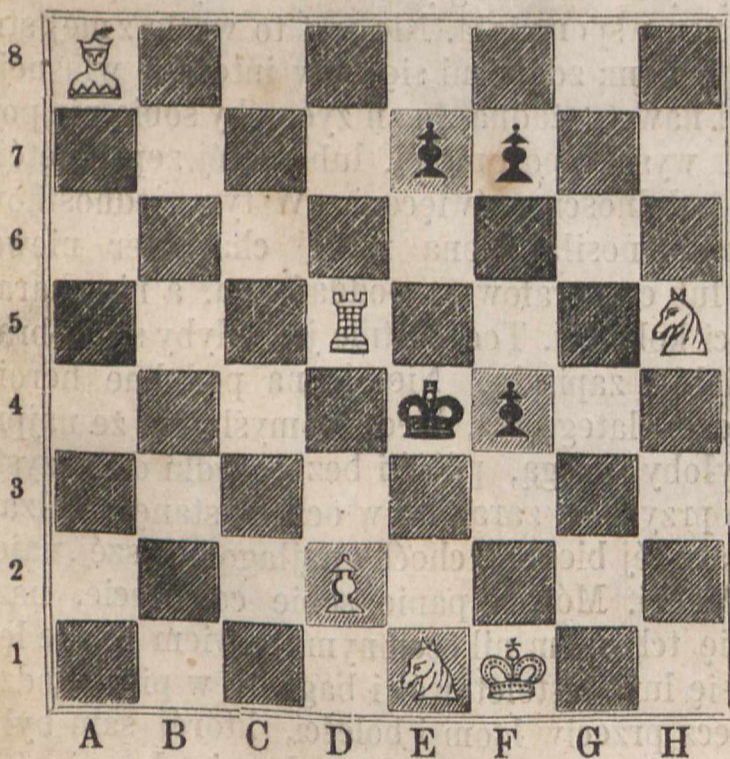
SZACHY.

ZADANIE XIV.

(J. Dz. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 13.

Białe.

Czarne.

- 1) A 3 — F 3 † 1) E 4 — F 3 bierze
- 2) F 7 — G 5 † 2) G 4 — G 5 bierze
- 3) A 4 — D 1 † i mat.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 18.

Niejeiden biędak żali sie na ubóstwo, a woli stać pod murem i żebrać, niż zarabiać na kawałek chleba.

REBUS.

